

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.  
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.  
1/2 „ — 25 „  
1/4 „ — 13 „  
1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

## Zamiast artykułu wstępnego.

D. 17 lutego r. b. na plenum Sejmu premier M. Zyndram-Kościałkowski wygłosił dłuższe przemówienie programowe, z którego wyjmujemy ustęp, dotyczący polityki narodowościowej rządu.

Przechodzę teraz do zagadnienia naszej polityki narodowościowej, której celem jest wewnętrzne zespolenie Rzeczypospolitej. Zagadnienie to rozwiązane będzie pomyślnie dopiero wtedy, kiedy ogół obywateli państwa polskiego niezależnie od narodowości i wyznania w swoim życiu publicznym stanie na gruncie zasad konstytucji, nie tylko w zakresie praw obywatela, ale także w zakresie jego wobec państwa obowiązków.

Problem ten z punktu widzenia zagadnień narodowościowych, łączy się najściślej ze szczerem przekonaniem rządu, że osiągnięcie pozytywnych rezultatów w dziedzinie wychowania obywatelskiego najczęściej wiąże się z zagadnieniem prawa do zachowania przez jednostki należące do innej niż polska narodowości, ich właściwości psychicznych, ich obyczajów, języka, czy wyznania.

*Nieposzanowanie tych właściwości, w szczególności naruszenie ich środkami przymusu, wytwarza naturalny sprzeciw, tem samem utrudnia akcję zmierzającą do uobywatelnienia mas, a w większości wypadków powoduje skutki wręcz odwrotne do zamierzonych.*

Rząd ma pewność, że takie stanowisko w niczem nie narusza naturalnego prawa narodu polskiego do promieniowania jego twórczości kulturalnej w szlachetnym współzawodnictwie z innymi narodami na mniejszości narodowe. Nikt nam tego prawa nie może odmówić, bo jest to naturalne prawo każdego narodu, każdej narodowości. Ale to jest prawo, z którego wynikają obowiązki. Promieniowanie bowiem narodu na elementy obce, to nie mechaniczne przekazywanie tym elementom takich czy innych cech wewnętrznych, lecz wprowadzenie ich w krąg własnego oddziaływania kulturalnego, budzenie poszanowania dla wytworzonych w pracy dziejowej wartości. Zdanie sobie sprawy z treści

tych procesów składa się na pojęcie tego, co by należało określić jako zdrowy patriotyzm, który czerpie siłę z uznania własnych wartości narodowych, ale nie jest skierowany przeciwko wartościom kulturalnym innych narodów.

*Ten zdrowy patriotyzm przeciwstawiamy nacjonalizmowi negatywnemu t. j. szowinizmowi, którego motorem działania jest nienawiść, stała tendencja do walki z kimś lub z czemś, często bez świadomości realnego celu hałaśliwie głoszonych hasel.*

Prasa litewska podaje długi rejestr represyj, które spadły w ostatnich czasach na społeczeństwo litewskie, w pierwszym rzędzie na organizacje kulturalno-oświatowe „T.wo św. Kazimierza” oraz „Rytas”. Nie wymieniamy wszystkich tych faktów, gdyż zajęłoby to za dużo miejsca, zresztą wiele z nich było zanotowanych również w prasie polskiej. Po raz pierwszy m. in. władze administracyjne zakazały obchodów publicznych święta narodowego litewskiego w d. 16 lutego.

## Niema czemu się dziwić...

„Kur. Wil.” w Nr. 31 z dnia 1 lutego rb. dał wyraz swemu oburzeniu z powodu tego, że na terenach z ludnością *białoruską i litewską* rady gminne niechętnie się ustosunkowują do sprawy finansowania z sum gminnych *polskiej* oświaty pozaszkolnej i *polskiego* szkolnictwa. Jako przykład jaskrawy takiego stosunku, podaje pomienione czasopismo fakt obniżenia odnośnych pozycji wydatkowych w budżecie gminy melegiańskiej pow. święciańskiego, gdzie wydatki na oświatę pozaszkolną ze 150 zł. obniżono do 60 zł., na świetlicę — ze 140 do 51, na szkolne potrzeby — z 708 do 305. Nazajutrz zaś, po zamieszczeniu tej notatki, tenże „Kur. Wil.” konstatuje z zadowoleniem, iż „nie wszędzie jest tak źle” bo oto na posiedzeniu rady powiatowej *łeczyckiej* członkowie tejże — wieśniacy zgłosili i uchwalili na sprawy, związane z wychowaniem młodzieży, szkolnictwem rolniczym i spółdziel-

czością, na rok budżetowy 1836-37 przeszło 15.000 zł. więcej, niż przewidywał projekt czynników oficjalnych!

Z zestawienia tych faktów „Kur. Wil.” wyciąga wniosek, iż „łączycy radni zdają dobrze egzamin z przysposobienia do pracy samorządowej”. A z tego logicznie wynikałoby, iż na terenach Wileńszczyzny radni—wieśniacy egzamin ten zdają źle...

Zarzut taki będzie całkiem dowolny i niesłuszny. Uświadomić sobie bowiem należy, iż w pow. łączyckim *polscy* wieśniacy łożą poważne sumy na miłą im rzecz—oświatę rodzimą, *polską*. „Kur. Wil.” uznaje natomiast za niezdolnych do pracy samorządowej wieśniaków *białoruskich i litewskich* z tego tylko powodu, iż nie chcą oni popierać finansowo bądź co bądź obcej im i niemiłej pracy oświatowej *polskiej*.

Musimy stanowczo odrzucić podobny zarzut, o ile oparty jest tylko na tej podstawie, że Białorusini i Litwini nie życzą szkół, bibliotek, świetlic—*polskich*. Przecie w zaborze rosyjskim lub pruskim lud polski również nie życzył sobie szkół i pracy oświatowej, prowadzonej w obcym mu języku rosyjskim czy też niemieckim, i wszelki protest przeciwko wynarodawianiu go tą drogą—czynny i bierny—poczytywany był przez całe społeczeństwo polskie za *cnotę narodową*. Czemuż więc na naganę zasługiwają wieśniacy białoruscy i litewscy, z powodu niechęci do szkolnictwa obcojęzycznego—w danym wypadku—polskiego?!

Zaznaczyć też należy, iż ofiarność włościan białoruskich i litewskich całkiem inaczej się przedstawia, jeśli chodzi o pomoc dla pracy oświatowej—*w języku ojczystym*. Oto kilka faktów z życia białoruskiego.

W Budstawiu—w przededniu zajęcia przez wojska polskie—na udzielonym przez gminę placu, staraniem i czynną pracą ludności białoruskiej, wybudowano gmach dla gimnazjum białoruskiego. Gimnazjum to, jak wiadomo z niejednokrotnych enuncjacji prasy białoruskiej, zamknięte zostało przez władze polskie, za rządów komisarza generalnego Ziem Wschodnich p. Osmołowskiego...

W Nowogródku—już w okresie „pomajowym” przy czynnym udziale pracą i materiałami budowlanymi oraz ofiarami pieniężnymi okolicznych włościan białoruskich—stanął dwupiętrowy gmach murowany dla bursy przy miejscowym gimnazjum białoruskiem. Założenia kamienia węgielnego dokonał osobiście p. prezydent Mościcki. Sejm wyasygnował około 200.000 zł. zapomogi na ten gmach, lecz skarb wydał z tej sumy tylko drobny ułamek... Gdy jednak pomimo to—dzięki ofiarności ludności białoruskiej—gmach został pokryty dachem i był bliski całkowitego wykończenia, władze zamknęły gimnazjum białoruskie! I dziś z gmachu, do którego mają wyłącznie prawo Białorusini, korzysta.. Polska Matczysz Szkolna.

Znamy szereg faktów udzielania przez gminy placów i budulcu, a przez ludność—pomocy i pracą i pieniędzmi—na wybudowanie lokalu dla świetlic i domów ludowych T-wa Szkoły Białoruskiej (T. B. Sz.). Taki dom wybudowano, na przykład, we wsi Ostrów pow. słonimskiego, lecz i tu... „hurtok” zlikwidowano! Zarząd T.B.Sz. mógłby prawdopodobnie podać długi wykaz takich wysiłków ludności białoruskiej, niestety—znieuczonych przez czynniki zewnętrzne!

To samo dałoby się powiedzieć o ludności litewskiej, która własnym kosztem utrzymuje swoje szkolnictwo, jako prywatne, i ofiarnie składa grosze na utrzymanie narodowych organizacji kulturalno-oświatowych. Niepodobna przypuścić, by redakcja „Kur. Wil.” o tem wszystkie n nie wiedziała!

Rzucamy przeto myśl: a gdyby tak „Kur. Wil.” zamiast roniaenia łez z powodu niechęci ludności białoruskiej i litewskiej do *polskiej* oświaty szkolnej, i pozaszkolnej, zaczął propagować—za zezwoleniem władz—szeroką pracę oświatową w języku białoruskim i litewskim? I dopiero po zapoczątkowaniu takiej pracy podjął się już wydawania patentów uświadomienia obywatelskiego radnym gminnym narodowości białoruskiej i litewskiej?... Najślusniejsza i najprostsza byłaby to droga w tej sprawie.

H. B.

## Spółka wydawnicza „Lumen”.

(Z dziejów prasy polskiej w Wilnie).

Gdy w Wilnie druk polski uzyskał odebrane mu po r. 63 prawa, grono księży polskich diecezji wileńskiej, którym bardziej leżała na sercu oświata ludu miejscowego, zorganizowało się i powołało do życia spółkę wydawniczą „Lumen”. Acz jutrzienka wolności już zaświtała nad krajem, przedwczesnem było oczekiwać od rządu jakiejś legalizacji takiego zamierzenia. Zaprawieni jednak długą szkołą ucisku rosyjskiego, a zamieszkali w Wilnie członkowie tego grona przystąpili zaraz do pracy. Jeśli chodzi o działalność wydawniczą, to wówczas względnie najłatwiej było jeszcze otrzymać pozwolenie na wydawanie gazety lub tygodnika. I tę właśnie drogę wybrano.

Do cieszących się większem powodzeniem, a więc trwalszych ich przedsięwzięć należał powstały wtedy tygodnik „Przyjaciół Ludu”, który wychodził bezmała lat dziesięć i czytany był chętnie na wsi, gdzie go księża wydatnie szerzyli. Jeśli porównamy go do przeznaczonych dziś dla ludu tygodników,

ziewających duchem nacjonalizmu i będących ekspozyturą endecji, przyznać trzeba, że był bez porównania umiarkowańszy, przyzwoitszy, a liczący się z etyką katolicką. Czytali go Polacy, czytali też czasem Białorusini, zanim nie zdobyli się na własny organ „Biełarus”. Jednak ambicje wydawnicze spółki „Lumen” sięgały dalej: chciano zdobyć czytelnika miejskiego w Wilnie, w pierwszym rzędzie mieszczaństwo, robotników, służbę domową.

Zadaniu temu odpowiedzieć miała praca na gruncie wileńskim młodego a społecznie wykształconego ś. p. ks. Pawła Kulwiecia. Zapatrzony w zachęcające wzory katolickiej akcji społecznej w Niemczech, gorliwy ich naśladowca zechciał spróbować u nas przeciwstawić taniej, acz dobrze redagowanej i dlatego wciskającej się do rodzin rzemieślniczych rosyjskiej „Kopiejce”, organ równie tani, popularny a obliczony na szeroki kolportaż. Takim być miała u nas gazeta codzienna „Dwa grosze”. Czy nią była w pełni, nie tu miejsce na osąd. Dość, że posiadała zacięcie szczerze społeczne, brzydziła się demagogją wulgarną, prawie wolna była od nacjonalizmu, zato tchnęła jawnie duchem uniwersalizmu katolickiego. Mimo swego idealizmu, zapału, szerokiego poglądu

## Przeciwko ekskluzywizmowi narodowościowemu.

Niejednokrotnie zabieraliśmy głos, zwalczając wyłączenie narodowościową, cechującą wszystkie poczynania społeczne u nas w Wilnie. Czy to będzie środowisko akademickie, czy organizacja zawodowa, czy jakaś akcja filantropijna — wszędzie i zawsze większość polska ignoruje pozostałe elementy narodowościowe naszego kraju. Czasami, zrzadka są zapraszani do komitetów reprezentacyjnych dobrze widziani przez władzę przedstawiciele staroobrzędowców, a gdy chodzi o pieniądze, również ci i owi finansisci żydowscy. Nawet, gdy organizowano przed paru laty pomoc dla głodującej ludności Wileńszczyzny, pominięto ostentacyjnie Litwinów i Białorusinów, chociaż właśnie ludność litewska i białoruska najbardziej tej pomocy potrzebowały i z niemi przede wszystkim miano do czynienia.

Zadne jednak z pism polskich ani razu nas nie poparło, nigdy nawet *demokratyczny* „Kurjer Wileński” nie zajął stanowiska naprawdę demokratycznego i krajowego. Byliśmy zawsze odosobnieni. Po raz pierwszy dopiero niedawno usłyszeliśmy głos, potępiający separatyzm nacjonalistyczny i domagający się wspólnej i solidarnej akcji bez różnicy narodowości. Rozległ się on ze szpałt lewicowego. „Prostu”, co jest objawem pocieszającym, gdyż dowodzi, że nie cała młodzież polska hołduje dumnej zasadzie „splendid isolation”.

P. H. Dembiński porusza w tem piśmie sprawę organizowanego w połowie marca przez Związek Nauczycielstwa Polskiego zjazdu w obronie oświaty i pisze tak:

...„Rzecz pierwszorzędną wagi. Widmo rozszerzającego się analfabetyzmu i ciemnoty zbudziło nawet najbardziej potulne elementy. Walka o podniesienie kredytów na oświatę i dostosowanie jej do potrzeb szerokich mas pracujących mobilizuje dziś wszystkich demokratycznie myślących ludzi. Jeśli też Związek Nauczycielstwa Polskiego chce istotnie przyczynić się do ratowania oświaty, to musi skupić na zjeździe wszystko, co oświatą jest zainteresowane i co zwiększy siłę obrońców oświaty.

na świat, jej redaktor i *spiritus movens* nie zjednął sobie starszych, a bądź co bądź wpływowych kapłanów. Owszem stał się przedmiotem kpin i drwin, nieraz wcale złośliwych. Najwidoczniej odrębna umysłowość ks. Kulwiecia drażniła otoczenie. Coraz bardziej czuł się obcym, niezrozumianym, jak ptak co trafił jakoś do kraju o klimacie wyraźnie odrębnym... Świadczyły o tem listy z Wilna pisane do kolegów. Rychło dołączyła się jeszcze ostra choroba płucna, która zamknęła mu usta i wytrąciła z ręki pióro na zawsze. „Dwa grosze” przestały wychodzić pod tytułem dotychczasowym.

Dziennik otrzymał nową nazwę „Gazety Codziennej” i nowego redaktora w osobie p. Jana Obsta. Prócz tego spółka „Lumen” wydawała aż do samej ewakuacji Wilna „Przyjaciela Ludu” i prowadziła księgarnię Zapaśnika (obie instytucje mieściły się przy ul. Dominikańskiej 4), oraz drukarnię ks. A. Rutkowskiego (róg Królewskiej i Oranżeryjnej)\*).

\*) Nazwisko to było częstą firmą, bo pozatem ks. A. Rutkowski nic z drukarnią tą nie miał wspólnego. Inaczej już było z księgarnią udziałową Zapaśnika, która ustąpiła w końcu miejsca oddziałowi wileńskiemu ruchliwej a bogatej księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

„Nie wolno nikogo pominąć. Trzeba więc, by na zjeździe były reprezentowane oświatowe instytucje robotnicze i ich działacze. Trzeba też, by w organizowaniu zjazdu wzięły udział białoruskie organizacje oświatowe oraz instytucje żydowskie.

„Zjazd w obronie oświaty, któryby nie oparł się o powszechną mobilizację wszystkich działaczy i instytucyj oświatowych oraz o ich koncentrację we wspólnem porozumieniu, byłby szkodliwą partyzantką, a nie masową manifestacją.

„W szczególności ważny jest udział Białorusinów, bo nie sposób wyobrazić sobie walki z analfabetyzmem na wsi białoruskiej bez współpracy z przedstawicielami narodu białoruskiego, bez zajęcia się sprawą szkoły w ojczystym języku białoruskim.

„Udział działaczy oświatowych litewskich jest też niezbędny, bo szczupłe ogniska oświaty litewskiej borykają się z olbrzymimi trudnościami i nie mogą prowadzić żadnej działalności”...

Uwagi p. Dembińskiego, słuszne w zupełności merytorycznie, tem większą mają wartość, że prawdopodobnie zostaną usłyszane przez organizatorów zjazdu, na co niestety my nie mogliśmy liczyć, gdyż nie posiadamy w tych sferach czytelników.

cz.

## Uchylenie konfiskat.

Wileński Sąd Okręgowy uchylił konfiskatę zarówno Nr. 1—2 jak Nr. 3 „Przełądu Wileńskiego”. Wobec powyższego przedrukujemy feljton p. t. „Ciocia Biurcia”, który był powodem konfiskaty zeszłego numeru, oraz powiadamy tych naszych prenumeratów, którzy nie otrzymali Nr. 1—2, że możemy go wystać, o ile się o niego upomną.

Wojna światowa wywarła wpływ decydujący na działalność spółki.

Z wejściem wojsk niemieckich do Wilna 18.IX 1915, przestała nagle istnieć tu cała prasa polska. „Kurjer Litewski” ewakuował się do Mińska Litewskiego, inne pisma umilkły. Jedyne słowo drukowane w Wilnie były odtąd niemieckie *Verordnungen* i *Bekanntmachungen*. Trwało tak szereg długich miesięcy. Minał r. 1915, nastał 1916, a sytuacja nie uległa w tym względzie zmianie żadnej. Dopiero w ciągu r. 1916 udało się, po długich staraniach grupie ludzi najściślej związanych ze spółką „Lumen” uzyskać koncesję u władz okupacyjnych na wydawanie w Wilnie polskiego organu codziennego. Koncesję tę uzyskał—pośrednio czy bezpośrednio—świeżo zmarły ś.p. ks. Józef Songin, który dlatego słusznie winien być nazwany *założycielem i pierwszym wydawcą* „Dziennika Wileńskiego” (tak się nazwał ten organ). Był to w owym czasie *jedyny* w Wilnie organ prasy polskiej, co niesłychanie ułatwiało zadanie powstałej gazecie, werbowano jej prenumeratów i czytelników i podnosiło kredyt moralny. Konkurentów „Dziennik Wileński” nie miał żadnych i mieć nie mógł, bo władze niemieckie ni-

FELJETON.

## Ciocia Biurcia.

Któż to jest taki „ciocia Biurcia?”... Tak od razu wyjaśnić niesposób. Trzeba zacząć od tego, jaki właściwie ustrój panuje w Polsce. Wiadomo wszystkim, że republikański, ale to jeszcze nic nie mówi. Może być republika demokratyczna, arystokratyczna, plutokratyczna, dyktatorjalna i t. d. Słowo „republika” znaczy tylko tyle, że niema króla ani cesarza, a jest prezydent. Znamy taką republikę, gdzie panuje dyktatura jednostki i znamy taką monarchję, gdzie rządzi parlament, oparty na opinii publicznej. Trudno się połapać, jak to właściwie jest w Polsce. Po dobrem jednak zastanowieniu się nad tą kwestją, można przyjść do przekonania, że w obecnych czasach Polską rządzi miła bardzo osoba, a mianowicie „ciocia Biurcia”.

Pełne jej imię zawiera połączenie dwóch pierwiastków, pochodzących z bardzo od siebie odległych epok. Pierwsze dwie sylaby dał nam w czasach nowożytnych język francuski i oznaczają one coś w rodzaju stołu do pisania, który często posiada przysłowiowe „stołowe nogi”. Pozostałe dwie sylaby wywodzą się z języka staro-greckiego i znaczą — władztwo, panowanie. Stąd całe imię ciotki Biurci oznaczałoby w przekładzie na język polski — coś jakby „stołowładztwo”, a w przekładzie wolniejszym — „panowanie nóg stołowych”. Nie będziemy jednak używali pełnego imienia naszej władczyni i nazwiemy ją ciepło i pieszczotliwie „ciocią Biurcią”. Przypomina to coś „ciocię Ymcię”, której również nikt nie nazywa pełnym imieniem.

Ciocia Biurcia, według diagnozy wielu lekarzy chorób państwowych, cierpi na znaczny przerost swego ciała. Żywna ta dama winna poddać się corychlej kuracji odtłuszczającej. Śmiało mogłaby stracić przynajmniej połowę swojej żywej wagi. Byłoby to z korzyścią dla niej samej i dla obywateli, które ma spełniać. Ale ciocia Biurcia jest

uparta i zamiast chudnąć — ciągle tyje. Stąd utrzymanie jej kosztuje więcej, niż jej włości mogą dostarczyć.

Poddawana od czasu do czasu badaniom biegłych psychiatrów, ciocia Biurcia wykazuje stale progresującą megalomanię. Uznaje się za nieomylną i nie znosi innego zdania, jak tylko swoje własne. Cierpieć zwłaszcza nie może głosów t. zw. opinii publicznej, chyba, że ta ostatnia wyraża poglądy zrodzone na jej biurku. W przeciwnym razie ciocia Biurcia unosi się mocno i zamyka usta wszystkim oponentom, lub też zamyka samych oponentów. Taktyka taka ma tę dobrą stronę, że ciocia Biurcia pozbawia się przykrości wysłuchiwania, co też myśli i mówi jej otoczenie, jakie tam dojrzewają poglądy, jakie wyrastają nastroje, o których ciocia Biurcia może się dowiedzieć nagle i niespodziewanie, gdy one tak wzbiorą, że przerwą wszelkie tamy i panować nad nimi wówczas będzie zapóźno. Ciocia Biurcia niebardzo się tem przejmując, uważając, że trzeba się trzymać tej samej taktyki, jaką kierowała się przed wojną jej kuzynka rosyjska — tłumić te głosy opinii publicznej, które nie zgadzają się z jej zdaniem. Ach, gdybyż życie można było powstrzymać w jego nurcie!... Ciocia Biurcia byłaby z tego bardzo zadowolona.

Nie znaczy to jednak, aby ciocia Biurcia nic nie tworzyła i trwała w zupełnym kwieżyźnie. Ciocia Biurcia ma pewną chorobliwie rozwiniętą pasję. Lubi pisać, bardzo dużo pisać. Pisanie staje się treścią jej życia. Niejeden diagnosta pokiwał głową i powiedział: *grafomania acuta*. Nie wiem dobrze co to znaczy, ale podobno nawet kliniczne leczenie niewiele by tu pomogło. Taką już pewnie umrze ciocia Biurcia. Czegóż ona nie pisze?... Okólniki, wyjaśnienia, komentarze, rozporządzenia, instrukcje, statuty, ustawy. Żadna z jej koleżanek z innych krajów nie zdradza tyle ekspansji pisarskiej, co nasza ciocia Biurcia. W oceanie papierowym tonie często zdrowy sens, życiowa celowość, praktyczna potrzeba, a utrzymują się na powierzchni same paragrafy i artykuły. Te nie toną, bo są w środku puste.

g  
zdyby nie pozwoliły Wilnu na — w ich mniemaniu — żbytek posiadania aż dwóch pism polskich. Dodajmy, że Wilno zostało odcięte całkiem od prasy warszawskiej. Redaktorem faktycznym nowego organu został oczywiście redaktor zwiniętej „Gazety Codziennej”, gdyż oba te wydawnictwa pozostawały w ręku tych samych ludzi.

Codzieli w południe, mała a żywna swego czasu figura ks. Songina odbywała z Góry Zbawiciela lub od Wszystkich Świętych, pieszo lub dorożką, wędrowkę do redakcji, która się przytuliła *sub ala* podominikańskiego kościoła św. Ducha, szukając tu zapewne większego uświęcenia się i natchnienia. Niewielki rozmiarami ówczesny „Dziennik Wileński” kosztował niedużo, a redagowany był, jak na prowincję, nieźle. Jeśli chodzi o jego oblicze polityczne, to odpowiadał on w zupełności hasłu polityki niemieckiej w naszym kraju: *divide et impera*, wyiskując inteligentnie, a nie bez *Schadenfreude*, przed forum okupanta, wszystkie błędy i braki ruchu litewskiego, który akurat wówczas pełen był wielkich mocarstwowych planów, chcąc stworzyć *Grosslitauen* z Białymstokiem i Puszcą Białowieską. Władze niemieckie, opierając się petycjom towarzystw litewskich, a później *Tarybų*, mogły teraz zawsze a łatwo

zaszachować Litwinów powołaniem się na stale wrogie Litwinom wywody „Dziennika Wileńskiego”, reprezentującego rzekomo u nas opinię większości mieszkańców kraju. Ciągłemu temu żerowaniu na Litwinach i wygrywaniu przez to u Niemców różnych atutów politycznych nie było doprawdy końca. Wśród analfabetów politycznych, jakich u nas się znajdzie do 95 proc., taka robota demagogiczna zawsze przyniesie plon obfity. Wszystkie w Wilnie sukcesy wyborcze list endeckich, w pierwszych latach rządów Polski na ziemiach Litwy i Białorusi, były tego prosta konsekwencją.

Będąc jedynym w Wilnie polskim organem, „Dziennik Wileński” przezornie nie rozwinął przed czasem swego partyjnego sztandaru endeckiego, bo chciał lepiej obsłużyć szerszą, niż endecja wileńska swą klientelę czytelniczą, co mu się zresztą dość udawało. Żasługą, której nikt chyba nie odmówi „Dziennikowi Wileńskiemu”, było, że nauczył szerokie masy wileńskie potrzeby jakiejś lektury prasowej, jakiegoś orjentowania się politycznego, jakichś sięgających poza pełną miskę zainteresowań... Szkoda tylko, że dając pewną strawę umysłową szaremu człowiekowi w Wilnie, dbał nierównie mniej o jej jakość... Dzięki temu dużo brzydkich nawyków, które

Poza tem wszystkim ciocia Biurcia jest srodze zachłanną. Stara się objąć swemi paluszkami wszystkie objawy życia, które stanowią domenę prywatnej pracy i inicjatywy. Żaden z tych interesów się jej nie udaje. Papierowe jej gospodarstwo spotyka się z deficytami, nie wytrzymuje próby życia, ale to jej nie odstrasza. Zabiera się chętnie do przemysłu, do handlu, lubi mieć dużo lasów i nie lubi ich oddawać nawet z wyroku sądowego, w ostatnich czasach wzięła się do ryb. Ma tę pociechę, że na tych interesach nie może stracić, albowiem samanic nie posiada, a za jej gospodarcze wyczyny i błędy płaci... Grecja. Bodajto robić kiepskie interesy za cudze pieniądze. Z takiego proceduru można dobrze żyć. A więc ciocia Biurcia żyje i tyje, chociaż... Grecja chudnie.

Podobnie doświadczonym władcom, ciocia Biurcia rzuca z wysokości swego piedestału i puszcza w obieg górne hasła w rodzaju: „Oszczędność jest bogactwem narodów”, albo: „Niech żyje radosna twórczość!”, albo: „Kupujcie losy loterii państwowej”, albo: „Frontem do szarego człowieka”, albo: „Cukier krzepi”, albo: „Korzystajcie z pocztyl”, albo: „Jedz ryby, będziesz zdrow jak ryba!” i t. d. Hasła te zazwyczaj zużywają się szybko. Po krótkim żywocie gasną i przechodzą do składu wyświechtanych frazesów, ale przez pewien czas deklamowane są z upojeniem na wszystkie tony przez górę i przez dół, dopóki nie przyjdzie moda na inny frazes, mający uratować ojczyznę.

Ciocia Biurcia byłaby może postacią tragiczną, gdyby widziała samą siebie, gdyby umiała spojrzeć krytycznie na swoją działalność, ale wrodzone dobre przekonanie o własnym posłannictwie zabija jej wszelki sąd o samej sobie, a innych sądów nie chce słyszeć. Nie dorosta więc, jako postać sceniczna na deskach świata, do roli tragicznej. Brak jej uświadomienia, którem przesycione są wielkie postacie dramatyczne. Stąd jej działalność tak często nadaje się na tematy do wesołych feljetonów. Ale jest to też często śmiech przez łzy.

Bolesław Szyszkowski

do wojny niekiedy ujawniała mieniącą się być polską gawiedź wileńska względem ludzi innej narodowości, języka, obyczaju i wiary, tylko wręcz odruchowo, ślepo a tępo, znalazło przez „Dziennik Wileński”, w oczach tych biednych i ciemnych ludzi, uzasadnienie. Tak próbowano wmówić im, że Polacy w Litwie mogą gospodarować, jak się im żywnie podoba, bez żadnego względu na niemniej w istocie do tego uprawnionych Litwinów, Białorusinów..., że właściwie katolikiem jest tu tylko Polak, a kościół wyłącznie domeną polskości, dalej głoszono prawo silniejszego i że gwałt gwałtem się odpiera i wiele, wiele innych rzeczy, w których trudno określić, czego jest więcej: demagogji czy rewolucyjności. Były to już złe zapowiedzi, szły jednak za nimi gorsze jeszcze czyny. Do poziomu nikczemności dosłownej spadł „Dziennik Wileński”, gdy z końcem r. 1918, rozpoczął trwającą po rok 1926 niecną oszczerczą kampanję prasową przeciw ś. p. biskupowi wileńskiemu Jerzemu Matulewiczowi. Rozumiemy doskonale, że Polacy wileńscy mogli sobie życzyć, by na stolicy biskupiej zasiadł w Wilnie Polak rodowity. Natomiast metody walki, na które pozwolił sobie wówczas „Dziennik Wileński” w zwalczaniu niemieckiej osoby biskupa diecezjalnego, pozbawiły go właści-

## Protest ryb.

Ubiegłego lata zamieściliśmy dowcipny feljeton p. B. Szyszkowskiego p. t. „Ryby mają głos”, gdzie została opisana walna narada wszystkich ryb, zamieszkujących jezioro Narocz nad sposobem wyrażenia protestu przeciwko nowym zarządzeniom Dyrekcji Lasów Państwowych, krzywdzącym ludność nadbrzeżną i zakłócającym tradycyjne stosunki, panujące między rybami a miejscowymi rybakami.

Jeżeli czytelnicy sobie przypominają, skory zawsze do gwałtownych czynów leszcza wystąpił z wnioskiem, który zyskał ogólną aprobatę, aby złowiona ryba stanęła ością w gardle każdemu, kto będzie naruszał odwieczne prawa jeziorne.

Widocznie jednak ryby się namyśliły i doszły do przekonania, że środek, zaproponowany przez leszcza, jako zbyt drastyczny, może ściągnąć na nie ostre represje. Lepiej nie przeciągać struny—pomyślały i zdecydowały się na krok bardziej legalny.

W jednym z ostatnich numerów „Słowa” J. M., który w szeregu barwnych i żywo pisanych artykułów odmalował dokładnie i wiernie stan rzeczy nad jeziorem Narocz w związku z ujęciem gospodarki na niem przez Dyrekcję Lasów Państwowych, podał sensacyjną wiadomość o solidarnym strajku — sielawy naroczańskie. Szósty dzień idzie na tem jeziorze połów i nie daje żadnego rezultatu. Sielawa strajkuje i nie chce iść do sieci. P. J. M. przypuszcza, że to tylko zbieg okoliczności i dowód, że zarybienie jezior przez Dyrekcję Lasów Państwowych poniosło fiasco. Może tak jest istotnie, a może to przeciwnie zręczny manewr rybi w wyniku owej letniej narady, o której wspominał nasz feljetonista? Łagodna sielawa zastosowała formę protestu bezsprzecznie skuteczną, a nierównie bezpieczniejszą, niż ta, którą uchwalono w lecie. Któż wie, do czego doprowadziłaby walka ryb z nadleśnictwem według recepty wojowniczego leszcza?

a.

wie miana prasy uczciwej i głęboko zdemoralizowały jego bezkrytycznego czytelnika.

Mijały lata, spółka „Lumen” coraz mniej stała się aktywną, członkowie jej schodzili z tego świata. Wyraźnie już sterowany po endecku „Dziennik Wileński” przeszedł w dalszych latach powojennych na własność endecji wileńskiej i otrzymał wydawcę w osobie Al. Zwierzyńskiego. Przyszli młodzi narodowcy i nawet red. J. Obst uznał za słuszne przekazać swój fotel komu innemu. Sprawiedliwość tu nakazuje stwierdzić, że z chwilą jego odejścia od biurka redaktorskiego, poziom „Dziennika Wileńskiego” zaraz się podniósł, acz nie przybyło doń, z wyjątkiem dodatków [akademickich, wcale piór nowych. Nieborak chce przetrzymać złe czasy zniżką ceny numeru i ukazuje się stale z *nadziejaniem*, nadsyłaniem z Warszawy.

Są jednak pisma endeckie,—niestety nie w Wilnie,—o poziomie wysokim, jak np. świetnie redagowana „Myśl Narodowa”. To jednak o wiele trudniej, niż wymyślać mniejszościom, podszczuwać przeciw Żydom i szkalować biskupa Litwina.

Latovicus.

## List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kurjerze Wileńskim” z dnia 16-go lutego pan Józef Maśliński umieścił kolejną napaść na rocznik „Almae Matris Vilnensis”. P. Maśliński udął, że zupełnie nie czytał wcześniejszej o dwa dni recenzji Eug. Gulczyńskiego o ostatnim zeszytzie „A. M. V.”, wydrukowanej w tymże „Kurjerze Wil.” 14 b. m. Nie obchodzi mnie w tej chwili liberalizm redakcji „Kurj. Wil.”, zezwalającej w parę dni po stosunkowo obiektywnym artykule Gulczyńskiego na sławetne wystąpienie Maślińskiego. Ponieważ jednak byłem współredaktorem ostatniego zeszytu „A. M. V.”, uważam za swój obowiązek przynajmniej częściowo, odpowiedzieć na zarzuty p. Maślińskiego, w związku z czem proszę Sz. P. Red. o zamieszczenie na łamach swego poczytnego czasopisma poniższego listu.

Artykuł p. Maślińskiego mnie osobiście ubawił, porażnił i zasmucił. Ad 1) — bardzo pochlebny stosunek p. Maśl. do siebie samego. P. M. uznał „A. M. V.” za pismo niepotrzebne i szkodliwe, od czterech lat prowadzi przeciwko niemu kampanję, „zużył już wszystkie prawie argumenty” i dziwi się, że skutek jego kampanji jest żaden: „A. M. Vil.” wychodzi nadal. Powyśleć sobie: sam p. Maśliński potępił „A. M. Vil.”, a ona ma czelność wychodzić! Takie rzucanie na szalę swego autorytetu ma niewątpliwie wiele bezpośredniego, komijnego uroku.

P. M. pisze „zaczęłam cykl artykułów „Co czytać” „polecam w nim pisma godne uwagi. W imię czego (podkr. p. M.), proszę, miałbym zdobyć się na czelność zalecania człowiekowi liczącemu skrupulatnie swój czas i pieriadze, by czytał „Alma Mater”?” Panie M.! Niech się pan nie kępuje i nie zdobywa na czelność polecenia w swoim doniosłym cyklu „co czytać” biednej „A. M. V.”! Rzeczolwiek brak pańskiego polecenia poważnie uszczupli zasięg „A. M. V.”, to jednak rozmiary tego uszczuplenia napewno nie będą tak katastrofalne, jak pan sobie wyobraża.

Ad 2) P. M. ocenia ujemnie zawartość „A. M. V.” Czy zdaje sobie sprawę z krzywdzącej funkcji jaką tu spełnił? Czy naprawdę czuje się na siłach ocenienia wszystkich artykułów naukowych, nazwanych przezeń „mizernymi i przypadkowymi fragmentami”? Czy jego karjera dziennikarska dała mu wystarczające kwalifikacje do oceny rozpraw z dziedziny teorii literatury, historii, prawa, etnografii i filozofii? Artykuły te zostały zakwalifikowane do druku przez kilku profesorów uniwersytetu i oto znowu bohaterkie zestawienie: z jednej strony specjaliści kilku dyscyplin naukowych — z drugiej p. Maśliński, młody publicysta. Cóż za odwaga wydawania sądów! Cóż za wszechstronność wykształcenia! A może tylko brak poczucia odpowiedzialności za to, co się pisze? P. M. zauważył w „A. M. V.” tylko „mizerne” artykuły naukowe i „nieudolną” kronikę, nie dostrzegł ani działu literackiego, ani ofiartej rubryki recenzyjnej, gdzie omówiono 19 pozycji bibliograficznych wileńskich wydawnictw literackich i naukowych, nie dostrzegł 20 reprodukcji dzieł młodych wileńskich plastyków. Mniejsza z tem, nie wątpię, że wszechstronne wykształcenie i odwaga cywilna p. M., wystarczą mu do zdyskwalifikowania i tych pozycji. Chodzi mi o co innego: czy nie uważa p. M., że doszukiwanie się celowości istnienia jakiegoś pisma może doprowadzić do smutnych dla niego samego wniosków? Czy p. M. zastanowił się np. nad sensem istnienia redagowanej przez niego „Kolumny literackiej”? Czy jest ona propagatorem czytelnictwa i kultury literackiej dla mas odbiorców? Czy może kuźnią nowej myśli artystycznej? Mówiąc oryginalnym językiem p. M. — *niczem z tego*. Przejrzyjcie numery, sprawdźcie w treści! Wszędzie coś ad hoc — ku pokrzepieniu serc „awangardowych” — mizerne, kilkudziesięciowierszowe artykułki, niezrozumiałe jak na przeciętnego czytelnika, przypadkowe, fragmentaryczne i jednostronne, jak na „specja”.

I wreszcie ad 3) Malostkowość ambicji społecznych p. M. napawa mnie smutkiem. „A policzmy te *tysiące*, które w to („A. M. V.”) idą”. Proszę bardzo! uda się to panu nawet, gdyby pan do trzech zliczył nie potrafił! Czemu jednak nie potępi pan w swojej doniosłej działalności publicystycznej innych, większych, naprawdę skandalicznych wypadków! Jeśli chodzi o pisma — ma pan doskonale bezbarwne, nieudolnie redagowane dzienniki, na które idą rzeczywiście *tysiące i tysiące!* Jeśli chodzi o reprezentację yjne pisma — czy zn a pan wydawane na eksport „Arkady”? Tam dopiero odbywa się w rekordowym tempie marnotrawienie publicznego grosza! Tam dopiero ma pan stupocentowy luksus! Komu to potrzebne? Jeśli chodzi wogóle o reprezentację, czy wie pan ile wynoszą wydatki reprezentacyjne bynajmniej nie najwyższych dostojników? Czy nie uważa pan, że napadając na zjawisko marnotrawstwa należałoby dobierać przykłady bardziej „reprezentacyjne” niż „A. M. Vil.”, której „luksus” doprawdy jest luksusem tylko dla ubogiego kresowianka? Ze wreszcie napadając na „A. M. V.”

równie systematycznie, jak bezskutecznie i powierzchownie naraża się pan na podejrzenia, iż pańskie pobudki są mniej szlachetne i bezinteresowne niż to może się wydawać człowiekowi, tak jak niżej podpisany, znającemu bezkompromisowość pańskiego charakteru i intelektu.

Proszę Przyjać etc.

Jerzy Putrament.

Wilno, 16.II.36.

## „Strażnice zachodniej kultury”.

P. Antoni Miller, autor wydanej w tym roku w Wilnie książki o dość przydługim tytule „Teatr polski i muzyka na Litwie jako strażnice kultury zachodu”, położył na wstępie swej pracy motto wzięte z Estreichera: „Dziejów teatru nie należy zbywać milczeniem w ogólnym obrazie dziejów oświaty i umysłowości polskiej”. Ale już na stronie siódmej zastrzega się, że nie pisze „historji teatru i muzyki w ścisłym znaczeniu tych wyrazów”.. i że traktuje tę „pracę...jako studjum z dziedziny historji kultury na Kresach Wschodnich i w ich stolicy”. Uderza tu tyle mętnych określeń, ile zdań i niemal słów. Dotychczas było wiadomo, że istnieje kultura polska, raska, litewska, niemiecka i t. d., obecnie dochodzi nowoodkryta „kultura na Kresach Wschodnich”. „I w ich stolicy”. Jeśli tak dalej pójdzie — tylko parterze jak fanatyczni „regionalści” odkrywają kulturę „mazowiecką” z ich stolicą (zapewne w Czersku), „podlaską” ze „stolicą” w Białej albo w Małkini. Ktoś może powiedzieć, że są to właściwie, — te określenia i pojęcia — rzeczy nieistotne i mało znaczące. Być może, iż w artykule dziennikarskim można niejedną nieścisłość puścić płazem, jednak w dziele naukowem, jakim prawdopodobnie w intencji p. Antoniego Millera jest jego omawiana tu książka, ścisłość definjowania pewnych zasadniczych kategorii pojęć stanowi integralną część metody, której poprawność warunkuje naukową wartość dzieła.

Pozostawiwszy więc na uboczu dość nieoczekiwane w pracy naukowej terminy („stolica Kresów Wschodnich”!), oprzemy się na miarodajnym dla tematu tytule i spróbujemy się zorientować w jakim stopniu autor wykazał, że teatr polski i muzyka na Litwie były „strażnicami (muzyka!) kultury Zachodu”.

Poinformowawszy czytelnika o fakcie historycznym, że „Litwa i Ruś od wieku wieków były terenem, na którym stykały się promienie dwu kultur: zachodniej i wschodniej” autor stwierdza „odrębność starego Wilna”, niewiadomo jednak w stosunku do której z tych kultur. „O odrębności poezji wileńskiej, powiada dalej autor, mówić nie będziemy, przytoczymy tylko sąd śp. Czesława Jankowskiego: „poezję Wilna cechuje pogoda, słoneczność, ziemi ukochanie”. Oczywiście bardzo cenimy opinię śp. nestora pisarzy wileńskich, wypowiedzianą w feljetonach „Słowa”, w tym wszakże wypadku nie uważalibyśmy za rzecz zdrożną przytoczenie mniej lakonicznego, a bardziej treściwego i charakteryzującego tę poezję określenia. Taką samą (jaką?) odrębność stanowi, według zapewnień autora i muzyka kresowo-ludowa oraz miejscowych kompozytorów — autochtonów.

I dalej p. Miller pisze: „Muzyka, jako potęga dynamiczna, wynikająca z toni (?) ducha ludzkiego, z okrzyku człowieka, z potrzeby przeistaczania niewyraźnych słowem nastrojów w formy dźwiękowe, charakteryzuje epokę, nastroj psychiczny dzielnic i, poniekąd, kierunek i ton poetyckiej myśli ludów

kresowych, unją polityczną złączonych. Muzyka towarzyszy im od narodzin w pieśniach matki lub niańki, towarzyszy w polu przy pracy, w szkole przy nauce, w kościele przy modlitwie, na wojnie podczas ataku na wroga, podczas wypoczynku przy tańcu i obrzędach ludowych. Ogarnia ona swą mocą psychikę etniczną, jako bezpośredni najprostszyszy śpiew ludowy"... W górnolotnej tej stylizacji chodzi więc o muzykę ludową. Ale o tej muzyce z książki p. Millera dowiemy się niewiele. To życie muzyczne, które, jak sam powiada „wyjątkowo łączy się z rozwojem teatru na Litwie, a w szczególności w Wilnie" w większości wypadków rzecz prosta dalekie jest od muzyki ludowej.

Te wszystkie chóry i kapele wielkopańskie, rekrutujące się niemal z samych cudzoziemców, świadczące o poziomie artystycznego wykształcenia magnaterji i królewiat z „poetycką myślą ludów kresowych" niewiele mają wspólnego. Są to żywcem zastosowane recepcje wzorów zachodnio europejskich, posiadających tam swoje gruntowne podłoże w upowszechnieniu (choćby nawet względem) kultury muzyczno-teatralnej i jako takie mogą być w najlepszym wypadku mechanicznym (przez długi okres czasu, aż do końca XVIII w.) naśladownictwem Zachodu, wyskokiem wielkopańskiej fantazji, nieposiadającym szerszej psychiczno-społecznej podstawy. Co najwyżej więc możnaby mówić o pewnych kontaktach kulturalno-artystycznych, które przeszczepiły na grunt polski najbardziej jaskrawe formy wysokiej i z socjalno-politycznym życiem społeczeństw Zachodu związanej tamtejszej kultury teatralnej: pewne upodobanie do widowiska teatralnego.

Dopiero od końca XVIII w. powstał w Polsce ruch teatralny, który doprowadził do utworzenia się stałego teatru. Wszystko co było przedtem, wszelkie widowiska, dialogi, opery były albo nabożeństwem, albo zabawą. Nie potrafiły wytworzyć w szerokim społeczeństwie upodobania do przedstawień teatralnych, nie przyczyniły się ani do wytworzenia stanu aktorskiego ani do twórczości pisarsko-dramatycznej, tych najważniejszych składników stałego teatru. Złożył się na to szereg ważnych przyczyn. Nie bez znaczenia były oczywiście warunki społeczno-ekonomiczne, które przy ówczesnym ustroju polityczno-państwowym nie sprzyjały rozwojowi satyry o treści socjalno-politycznej, jak to naprzykład działo się z twórczością Moljera we Francji. Ożywienie ruchu kulturalnego w II połowie XVIII wieku, odrodzenie umysłowe, rozbudzenie zainteresowania sprawami publicznymi stworzyło odpowiedni grunt pod powstanie publicznej sceny polskiej niemal jednocześnie w Warszawie i w Wilnie. Założony przez Bogusławskiego w 1785 w Wilnie teatr skupił wokół siebie życie teatralno muzyczne Litwy, przetrwawszy aż do r. 1865 t. j. do czasu zakazu po powstaniu przedstawień polskich przez Murawjewa.

W obficie nagromadzonym materiale anegdotycznym daje nam autor zarys dziejów teatru i muzyki poczynając od epoki saskiej, czyli historję poszczególnych scen zamków i pałaców magnackich, przechodząc stopniowo przez recepcję teatru zachodniego w Polsce i w teatrach litewskich do przełomowego momentu założenia stałego teatru w Wilnie. Okres kierownictwa Bogusławskiego, Morawskiej i Każyńskiego 1785—1810 jest opracowany stosunkowo najbardziej szczegółowo, a naszkicowanie stanu teatru krakowskiego, lwowskiego i warszawskiego z tego okresu przez porównanie ułatwia urobienie

sobie sądu o teatrze wileńskim w skali ogólnopolskiej. Pięćdziesięciolecie 1815—1865 teatru i muzyki w Litwie od kongresu wiedeńskiego do upadku powstania styczniowego stanowi III część książki p. Millera. Na roku 1865 zamyka autor swą pracę.

Świeżo powstały teatr Bogusławskiego nie utrzymałby się, gdyby już nie miał częściowo przynajmniej otrzaskanej z tą nowinką publiczności. Zadanie to spełniły prywatne teatry magnaterji litewskiej, które w dziele powstania teatru powszechnego narodowego wykonały w pewnej mierze rolę taką, jak we Francji teatr dworski. Bądź co bądź naśladownictwo widowisk Zachodu, jego dramatu i muzyki, poleowało w teatrach wielkopańskich umysłowość szlacheckiego społeczeństwa; utrzymując pewien kontakt z centrami kulturalno-artystycznymi Europy, teatry skupiały u siebie artystów, śpiewaków, muzyków, pisarzy i kompozytorów, niekonięcznie, a nawet w początkach raczej bardzo rzadko krajowców, zawsze jednak przyczyniły się do utworzenia stanu aktorskiego, do urobienia publiczności. Nie wyrosły jednak, jak na Zachodzie, z podłoża autochtonicznego, były naleciałością zewnętrzną, wprowadzie błyskotliwą, ale tembardziej jaskrawo odbijającą od ciemnego tła obskurantyzmu, w którym tonął najszerzy ogół panów braci, nie mówiąc już o mieszczaństwie czy chłopstwie. Nie mogły więc być strażnicami kultury, bo nie było, zwłaszcza w czasach saskich, a o nich tu mowa, i samej kultury. Były po prostu przejętą z Zachodu przez magnacki snobizm nową formą zabawy. O roli społecznej teatru na ziemiach litewskich mówić można dopiero od końca XVIII wieku i to z zastrzeżeniami, a bez tej roli tytuł strażnicy kultury Zachodu staje się tylko czczym eufemizmem. Nieśwież, Słuck, Słonim, Białystok, Dubno i Grodno pod koniec XVIII w. były poprzednikami stałej sceny wileńskiej i na tem bodajże polega ich właściwa zasługa. Do tej tylko roli da się sprowadzić nadany przez autora tytuł „strażnicy kultury zachodu". Posłannictwo i heroldowanie przez pewne czynniki dziejowe „kultury Zachodu" w Litwie stało się już obecnie zdawkowym powiedzeniem, często wypranem ze wszelkiej treści. Postępy wiedzy historycznej mówią nam o tem coś nie coś i tem więcej nakazują każdemu, kto chce uniknąć spłylenia tego pojęcia tam, gdzie ono rzeczywiście ma swój walor i sens, jasne i wyraźne formułowanie wypowiedzianych poglądów.

W książce swej zawarł p. Miller materiał bardzo obszerny, ale też może właśnie dlatego trudno mu było nad nim całkowicie zapanować. Szczegóły, nie posiadające większego znaczenia, drzbiazgowość w odtwarzaniu administracyjno-gospodarczej strony rozmaitych imprez teatralnych często załamują autorowi wytkniętą przez samego siebie linię ogólnego opracowania i utrudniają czytelnikowi wyrobienie sobie właściwego syntetycznego ujęcia całości zagadnienia.

Do wad książki, tym razem z punktu widzenia formalnego, należą przypisy. Jest ich w pracy pana Millera bardzo dużo, a mimo to często się zdarza jakby ich wcale nie było. W dziełach naukowych odsyłacze stanowią dowody, potwierdzające autentyczność faktów czy sądów autora i dlatego zawsze tak są budowane, żeby łatwo można było odnaleźć i sprawdzić cytowane źródło. Tymczasem większość odsyłaczy w omawianej książce zawsze coś pozostawia do życzenia: albo brak daty wydania, albo

miejsca, to znów pełnego tytułu, to stronicy, lub też wprost częste cytowanie z pamięci.

Naturalnie, można te zarzuty nazwać zarzutami natury seminaryjnej, niemniej braki powyższe o metodzie samej pracy dobrze nie świadczą.

Praca p. Millera „Teatr i muzyka na Litwie: strażnice kultury Zachodu” naogół warta jest tego, żeby się z nią zapoznać, nicby jednak nie straciła, gdyby odrzucić drugą część tytułu, jako nie odpowiadającą merytorycznej treści książki.

A i historii.

E. Gulczyński.

## Bibliografia.

Z. Honik. — *Urząd podwojewódzkiego w Wielkiem Księstwie Litewskim*. Studium historyczne. Wyd. Tow. Pom. Nauk. im. E. E. Wróblewskich, Wilno 1935.

Praca ta oparta jest w dużej mierze na literaturze drukowanej. Hojną dłońią zwłaszcza czerpie autor z dzieł uczonych rosyjskich — M. Ljubawskiego „O:zerek istorji Litowsko-Russkago Gosudarstwa do Lublinskoj Unii wkluczitelno”, oraz I. I. Łappy „Wielikoje Knjażestwo Litowskoje za wremja zakluczenia Lublinskoj Unii do smierti Stefana Batorija”.

Na tle stopniowego przyswajania sobie przez Litwę wzorów administracji polskiej, poczynając od urzędu starosty i wojewody, którzy stali się reprezentantami władzy centralnej jako zastępcy hospodara w różnych dziedzinach życia publicznego, studjum p. Homka omawia przede wszystkim wymiar sprawiedliwości w zakresie sądów grodzkich, a w zastosowaniu do ludności żydowskiej w Litwie.

W związku z nowym ustrojem sądownictwa w Litwie, które uległo zasadniczym zmianom w II poł. XVI wieku powstały tu 1566 sądy zamkowe, zwane w Koronie, a później także i w Litwie, sądami grodzkimi. Do tych to sądów grodzkich — zamkowych należała m. i. jurysdykcja nad Żydami.

Konstytucja Sądu Grodzkiego z r. 1678 zaznaczając, że Żydzi stawiani byli niejednokrotnie przed sądy inne, wyraźnie tego zakazuje, nakazując skierowywać ich wyłącznie przed sądy starostów i wojewodów.

Ci ostatni stali właśnie na czele sądów zamkowych czyli grodzkich. W miastach powiatowych przewodniczył sądom zamkowym — grodzkim starosta, w centralnych zaś powiatach województwa początkowo wojewoda

Ale, zapytuje autor, cóż to był za sąd „zamkowy” — wykonywany przez wojewodów lub starostów skoro, jak wiemy, sprawowali ci dostojnicy sądownictwo grodzkie, od którego Żydzi byli wyłączeni? Odpowiedź na to pytanie, mówi autor prowadzi nas do wniosku, iż sądy zamkowy i grodzki musiały to być dwie odrębne instytucje sądowe.

Jako dowód odrębności sądów zamkowych ma służyć fakt istnienia na Litwie w pocz. XVII stulecia urzędu podwojewódzkiego.

Podwojewodzi ukazują się w Litwie dopiero w pocz. XVI w. na miejsce namiestnika i obejmuje jego funkcję. Po raz pierwszy spotyka się nazwę podwojewódzkiego w r. 1617, lecz nie jako konkretnego urzędnika, a jako tytuł. Skądinąd zaś wiadomo, że w latach 1617—1620 zastępca wojewody

nosi jeszcze tytuł namiestnika, którym jest Piotr Piasecki. Autor wskazuje, że wobec cytowanej wzmianki o podwojewodzim z r. 1617 w tym czasie ma istnieć obok siebie dwóch urzędników: namiestnik i podwojewodzi.

ski.

Kończyńska Wanda, *Rejtan, Korsak, i Bohu szewicz na sejmie 1773 roku*. Wilno 1935.

Dzieje pamiętnego sejmu pociągają stale uwagę historyków, zwłaszcza Rejtan porywa swą legendą wielu. Do spopoloryzowania bowiem tej postaci przyczynił się walenie Matejko znanem swem płótnem „Rejtan na sejmie”. Ród Korsaków znowu wiąże się ściśle z dziejami ziem na północ i wschód od Wilna. Również swojsko brzmi dla nas nazwisko Bohuszewicza, którego potomkiem był słynny poeta białoruski.

Zamierzając napisać monografię Rejtana, badaczka zbiera teraz materiały do jego dziejów. Zabrała się do tego sumiennie, jak świadczą liczne kwerendy, o których mówi we wstępie. Bardziej od tekstu rozprawki cenne są podane do niej przypisy. Z tyłu aktów Kończyńska strzepnęła kurz wiekowy, by nierzaz zdobyć tylko jakiś nieznacznym, przecież wartościowy szczegół.

Zwykle ród Reytanów wyprowadzano u nas z Niemiec od *von Reuten* i faktycznie są tam liczni Rejtenowie, jak zresztą i w Anglii. Dużo natomiast ich jest w Szwecji, skąd też łatwo do nas przybyć mogli. Blisko byli Reytanowie spokrewnieni z ruską rodziną Wołodkowiczów i litewskimi Radziwiłłami. Wobec postaci Reytana błędną sylwetę dwóch drugich posłów na sejm r. 1773 — Korsaka i Bohuszewicza „Dzięki bohaterskiej walce sejmowej posłów litewskich sejm rozbiórczy nie był legalnym, a tem samem wszystkie jego traktaty i podpisy”. Teza powyższa autorki wymagałaby uzasadnienia jurydycznego.

as.

## Analogie.

W „Tyg. Ilustrowanym” z dn. 18 sierpnia 1906 r. znajdujemy ciekawy i niepozabawiony pewnej aktualnej pikanterji wywiad ze znakomitym obrońcą politycznym Leonem Papieskim, w sprawie skazanego na śmierć za zabójstwo strażnika w łłowie Zygmunta Kaczorowskiego, który uporczywie dowodził swojej niewinności. Mecenase Papieski informuje przedstawiciela „Tygodnika” o przebiegu sprawy, opowiadając że dn. 21 stycznia 1906 r. agitatorzy zabili w łłowie strażnika i uciekli.

„—A więc uciekli! — przerywam mecenasowi,

— Tak, ale po trzech tygodniach naczelnik powiatu Pochaczewskiego Buzago... zakumunikował, że drogą agencji tajnej, której źródła wymienić **nie może**, doszedł do wniosku, iż sprawcami zamachu są: ogrodnik miejski Zygmunt Kaczorowski i zamieszkały w Warszawie Giesmajer.

— Czyż można nie wymienić źródła? przerwałem ze zdziwieniem mecenasowi.

Nieokreślony uśmiech zibłąkał się na usta p. Papieskiego”.

Należy zaznaczyć, że w rezultacie starań w Petersburgu przeprowadzono rewizję procesu, i Kaczorowski został uniewinniony.

„Wiad. Literackie”